

Edmund Mazur

Z mojego raptularza

Palestra 21/5(233), 98-101

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

apelacyjnym jest możliwość orzekania sądu II instancji co do istoty sprawy.

W dyskusji poruszono m.in. problem możliwości zawarcia ugody przed sądem II instancji w sytuacji, gdy sąd I instancji uznał taką ugodę za niedopuszczalną w świetle art. 203 § 4 k.p.c. Doktorant stanął na stanowisku, że w wypadku gdy sąd po przeprowadzeniu ponownego dowodu i przesłuchania stron stwierdza, iż taka ugoda nie narusza interesu stron, powinien on przekazać sprawę do ponownego rozpoznania sądowi I instancji w myśl art. 385 § 4 k.p.c., nie może zaś wnieść takiej ugody do protokołu.

Kolejny interesujący problem podniesiony w dyskusji dotyczył interpretacji art. 381 § 2 k.p.c. Rozważano, jakiego rodzaju współuczestnictwa dotyczy ten przepis przy przyjęciu, że rozszerza on również pod względem podmiotowym kontrolę sądu rewizyjnego. Doktorant twierdził, że takie rozszerzenie granic podmiotowych kontroli sądu rewizyjnego dotyczy współuczestników materialnych.

Uwzględniając podnoszone przez recenzentów i dyskutantów walory pracy oraz świadczący o teoretycznej wiedzy doktoranta przebieg obrony, Rada Naukowa Instytutu Prawa Cywilnego Uniwersytetu Warszawskiego postanowiła jednogłośnie nadać adwokatowi Kazimierzowi Krzemińskiemu tytuł doktora nauk prawnych.

Magdalena Bosakirska

MIĘDZY NAMI

EDMUND MAZUR

Z mojego raptularza

Zagonieni sprawami, przytłoczeni codziennym „młynem” sprawiedliwości — nie zawsze mamy czas i ochotę na rozmyślanie o sensie tego, co robimy, na refleksje o życiu i o naszym w nim miejscu. Czasami jednak, przy sprzyjających okolicznościach albo w czasie „białej nocy”, oświetlamy te ukryte doświadczenia, wiążemy ze sobą fakty i próbujemy wyciągać wnioski, i to zarówno wnioski najbardziej osobiste jak i ogólniejszej natury.

Muszę przyznać, że moje doznania i oceny po takim „rachunku sumienia” są słodkie i jednocześnie gorzkie, z przewagą tych ostatnich. Z punktu widzenia osobistego, jestem prawie zadowolony: mam zawód, który lubię i do którego uporczywie dążyłem, mam dom i rodzinę, gdzie czuję się dobrze, i chciałbym, aby to przekonanie było podzielone przez pozostałych członków tejże rodziny, mam zajęcia natury zawodowo-społecznej, pracuję w samorządzie adwokackim, gdzie czuję się potrzebny i gdzie — dodam nieskromnie — ta moja działalność jest chyba doceniana, od czasu do czasu coś napiszę i opublikuję. mam zainteresowania wychodzące poza sferę zawodową, mam przyjemne hobby dostarczające mi miłych przeżyć i wzruszeń, no i materialnie jakoś sobie radzę. Czuję się użyteczny i po-

trzebny. Zdaję sobie sprawę z funkcji profesjonalnej, jaką spełniam w wymiarze sprawiedliwości i w społeczeństwie, widzę swój zawód i siebie w perspektywie czasu, realnie oceniając plusy i minusy.

Powinienem więc być zadowolony, ba, szczęśliwy nawet. A jednak odczuwam jakiś niepokój i trwogę: wydaje mi się, że ciągle zbyt mało daję i biorę, że mój ślad, który chciałbym „ocalić od zapomnienia”, jest zbyt nikły, podobny do bruzdy wodnej po przepłynięciu łódki. Szukam gorączkowo odpowiedzi i wyjaśnienia tych doznań i odczuć, ale... wyłaniają się tylko pytania, pytania, pytania, jak w nie kończącym się procesie z niezliczoną liczbą świadków, ciągle zmieniającym się komplecie orzekającym i cyklicznie na nowo formułowanym akcie oskarżenia. Można o nich chwilowo zapomnieć, ale nie można od nich uciec ani też uzyskać zadowalającej odpowiedzi. I to jest ten męczący stan, gorzko odczuwana sytuacja, uświadamiana konieczność przeżywania, przemijania i ciągłego niepokoju cisnących się lawinowo pytań. Ale czy nie może być tej odpowiedzi? Ba, gdybym wiedział, przyjąłbym to jako właściwość psychofizyczną natury ludzkiej, jako coś, co jest nieuchronne i konieczne, jak np. odżywianie. A może to jest właśnie rodzaj pożywienia dla człowieka, dla jego mózgu i innych narządów, dla jego intelektu? Może to jest ta siła napędowa, która nam każe żyć, działać, wierzyć i wątpić? Nie wiem, nie mogę znaleźć zadowalającej odpowiedzi.

Męczy mnie od pewnego czasu pytanie dotyczące istnienia życia jako takiego, tej ukrytej siły powodującej poczęcie, narodziny, rozwój, zgon. Z biologii wiemy wszystko albo prawie wszystko o koniecznych czynnikach powodujących powstanie nowej jednostki ożywionej materii. Uczeni całego świata od wieków skrupulatnie badają i opisują rozwój i życie każdego gatunku, każdej rośliny, ziarenka, kwiatu, owocu, każdego stworzenia. Ale nigdzie nie znalazłem (i chyba nie znajdę) odpowiedzi na proste pytanie: co powoduje, że powstanie określonych warunków daje w efekcie nową komórkę ożywioną, inną zupełnie od poprzednich, a jednak tak podobną, że niemal identyczną? Co nakazuje i powoduje ciągły rozwój nowych a jednocześnie znanych form życia? Nauka odpowiada, podsuwając tu wiadomości o genecie, instynkcie, woli itp. Jest to jednak tylko umowne określenie zaobserwowanych i doświadczalnie sprawdzonych zjawisk przyrodniczych, mniej lub bardziej dokładnych — nic ponadto. Podejrzewamy istnienie jakiejś ukrytej, nie znanej jeszcze, wspólnej wszystkim ożywionym jednostkom siły witalnej lub też istnienie jednostki energii biologicznej tkwiącej w nas i wszystkich przejawach życia, przeczuwamy ją i próbujemy nieudolnie opisać, zbliżyć się do niej choćby wyobraźnią. Czy jednak kiedyś będziemy w stanie dotrzeć do źródła życia, poznać jego istotę, nie powstawania, lecz istnienia, wykorzystać ją pożytecznie, nie niszczyć, uszkadzając czy deformując? Znowu pytania, pytania, pytania.

Kiedyś uczono mnie — i sam w to wierzyłem — że przestępczość jest uwarunkowana stosunkami społeczno-ekonomicznymi. Rychło przekonałem się, że jest to tylko półprawda. Owszem, stosunki społeczno-ekonomiczne mają wpływ na przestępczość w sensie ich rodzaju, geografii występowania, nasilenia, ilości itp., ale jej nie ograniczają ani też nie warunkują. Zlikwidowanie jakiegoś ustroju czy formacji, stworzenie nowych warunków społecznych, ekonomicznych i kulturalnych nie znosi automatycznie przestępczości jako zjawiska społecznego. Ginie jeden rodzaj przestępstw (w drodze faktycznej lub prawnej), a w to miejsce pojawia się inny lub inne, wygasa gdzieś jakiś rodzaj przestępczości, ale pojawia on się natychmiast w jakimś innym miejscu lub kraju, i to przeważnie w większym jeszcze rozmiarze lub nasileniu. Zdobył się cywilizacji i kultury doskonałą aparaty ścigania, ale zwykle jest to działanie następne, już po spełnionym przestępstwie,

będące wynikiem doświadczenia i nagromadzonych spostrzeżeń. Nauka historii państwa i prawa daje świadectwo istnienia jakiegoś współczynnika przestępczości towarzyszącego nam niezmiennie od zarania ludzkości. Nawet legendy, baśnie, podania, nawet znane nam religie, tak zdawałoby się bliskie doskonałości ideału, zawierają w sobie elementy dobra — zła, czynów nagannych i zasługujących na pochwałę i aprobatę, przestępstwa i kary. Charakterystyczne, że właśnie religie operują najczęściej i w wyszukany sposób pojęciami jak najbardziej prawnymi z pogranicza czynu (uczynku), nagrody, kary, resocjalizacji, odpłaty, oceny, klasyfikacji, formułując je oczywiście z punktu widzenia prezentowanej moralności i etyki, a dla wywarcia określonego celu, zachowania się czy społecznego oddziaływania.

Wszystko więc to prawda, wszystko to wiemy i możemy sobie bardziej lub mniej uczenie wytłumaczyć, ale jest to przecież nic innego jak opisywanie spostrzeżeń istniejących już kiedyś faktów o różnym ilorazie. Nie możemy natomiast odpowiedzieć sobie na zwykle, proste pytanie: dlaczego człowiek popełnia przestępstwo? Dlaczego nie respektuje ustanowionych przez siebie rygorów zachowań, nakazów i zakazów? Nauka prawa mówi, że winne są temu stosunki społeczno-ekonomiczne, inni zaś twierdzą, iż winę ponosi niedoskonałe prawo. Od wieków przeto doskonalimy, zmieniamy, ulepszamy i poprawiamy zarówno stosunki społeczne i ekonomikę życia jak i prawo z wszystkimi jego odgałęzieniami. Zjawisko istnieje jednak nadal i jak uczy statystyka, bynajmniej nie maleje. Zadowolamy się i cieszymy, jeżeli tylko nie rośnie albo jeżeli uda się nam zmniejszyć którąś z grup przestępczości, klasyfikowaną przez nas jako groźną lub najgroźniejszą. A może źródła tego należy szukać gdzie indziej? Może to sam system organizacji społeczeństwa, rodzący i niosący za sobą ogrom nakazów i zakazów, jest przaprzyczyną tych konfliktów? A może cała nasza kultura, wyrosła na strachu, przymusie określonych zachowań z systemem nagród i kar, powinna ulec przewartościowaniu? Może wyznacznikiem postępowania ludzkiego powinien być jakiś inny, nie odkryty jeszcze lub nie uświadomiony sobie czynnik? Może cały skomplikowany system istnienia najprzeróżniejszych „tabu” jest błędny i sam powoduje powstawanie i istnienie konfliktów? Znowu pytania, pytania, pytania.

Występując jako obrońca w sprawach karnych w ciągu całego przewodu sądowego, a w szczególności w jego części finalnej, i słuchając potem zapadłego wyroku skazującego, zadaję sobie pytanie, czy orzeczona kara spełni swój cel wychowawczy. Myśl ta jest szczególnie natrętna przy skazaniu na karę pozbawienia wolności. W ciągu ostatnich dziesiątków lat możemy zauważyć, że wymiar kar pozbawienia wolności zdradza wyraźnie tendencję zwiększającą. Dziś nikogo nie dziwi wymiar 5 lub 10 lat pozbawienia wolności. Wymiar w granicach 1—3 lat przyjmuje się na ogół jako łagodny. Mówimy, że trzeba karać, i to surowo. Jednocześnie stykamy się na co dzień ze zjawiskiem powrotności do przestępstwa, które przecież świadczy o małej skuteczności takiej polityki. Od niedawna dopiero przyjęliśmy zasadę „rozwarstwienia” przestępczości, niektóre jej rodzaje przesunęliśmy do wykroczeń, wprowadziliśmy też nowe kary o charakterze nieizolacyjnym. Musi upłynąć sporo czasu, by dokonać pełnej oceny skuteczności tych poczynań. Ale już dziś można z wielkim prawdopodobieństwem stwierdzić, że zmiany te nie naruszają istoty systemu i w rzeczywistości kręcimy się w kółko. Czy nie stać nas na wyrwanie się z tego zakłętego kręgu? Chyba możemy to uczynić, gdyż rozporządzamy dostateczną bazą. Kłopot w tym, że nie wiemy, w jakim iść kierunku. Intuicyjnie wyczuwamy nasze niedostatki, ale jeszcze nie wiemy, co i jak trzeba zrobić, aby radykalnie lub stopniowo przejść na wyższy etap. Przypominają mi się wnikliwie i trafne rozwa-

żania prof. Kępińskiego o istocie chorób, w tym także społecznych, o źródłach ich powstawania, objawach, rozwoju i skutkach. Prof. Kępiński czynił te spostrzeżenia nie tylko z pozycji klinicysty, ale również z pozycji człowieka ogarniętego obsesją pomocy. Czy nie ma wspólnego mianownika między chorobą jednostki (w znaczeniu medycznym) a zjawiskiem społecznym szerszego zasięgu? Czy nie można tu doszukać się analogii z wszystkimi jej następstwami?

Znowu pytania, pytania, pytania.

Starożytny filozof powiedział: „wiem, że nic nie wiem”. Powtarzamy to do dzisiaj przy różnych okazjach. Wydaje mi się, że ten szanowny mędrzec wiedział więcej niż współcześni mu ludzie, stworzył chyba nową gałąź wiedzy o „niewiedzy”. Ale czy wiedza o „niewiedzy” jest już nauką? A jeżeli tak, to z jakiego poziomu należy patrzeć? Czy z poziomu mrówki, czy z poziomu człowieka, a może jeszcze wyższego? Wszak sama wysokość w sensie przestrzennym daje tylko możliwość ogarnięcia większego horyzontu, ale jeszcze nie dowodzi, iż horyzont ten jest widziany...

Trzeba kończyć, odezwała się „Katarzynka”.

RECENZJE

Feliks Zedler: *Dochodzenie roszczeń majątkowych od małżonków*, Wyd. Prawn. 1976.

Wydana w roku ubiegłym przez Wydawnictwo Prawnicze praca Feliksa Zedlera stawia sobie za cel omówienie zagadnienia odpowiedzialności małżonków w sferze majątkowej oraz zagadnień procesowych i egzekucyjnych, jakie są z tym związane.

Zakres pracy jest więc niezmiernie szeroki. Z jednej bowiem strony autor omawia zagadnienia prawa materialnego, z drugiej zaś — problemy procesowe. Z natury rzeczy musi to w 200-stronicowej pracy prowadzić do skrótego ujęcia tematu, a nawet do pominięcia niektórych zagadnień. Autor zastrzega się zresztą (na str. 25 pracy), że zajmując się zagadnieniem odpowiedzialności małżonków za długi jednego z nich, nie będzie omawiał wszystkich kwestii, jakie są z tym związane, gdyż przekracza to ramy oraz cel jego pracy. Całą uwagę — jak zapowiada autor — skoncentrował

on na tych kwestiach, które dla małżeńskich stosunków majątkowych są istotne. Są to więc te zagadnienia, które autor wybrał pod określonym kątem widzenia.

Nie ulega wątpliwości, że praca pisana jest przede wszystkim pod kątem widzenia potrzeb praktyki. Stanowi to w dużej mierze o jej wartości. Zagadnienie bowiem dochodzenia roszczeń od małżonków, zwłaszcza w sytuacji gdy dłużnikiem jest tylko jedno z nich, pojawia się w praktyce bardzo często i jest niejednokrotnie źródłem wielu trudności, występujących zarówno w sferze procesowej jak i egzekucyjnej. Systematyczne więc ujęcie tego tematu zarówno od strony materialnoprawnej jak i proceduralnej jest rzeczą dla praktyka bardzo pożyteczną.

Na wstępie autor omawia zagadnienia odpowiedzialności majątkowej